Wychodzą we Lwowie we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. Prenumerata roczna **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięcznie **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. — półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k. — Ryciny mód kwartalnie **1** Złr. **20** kr.

Bióro expedycyi w księgarni **H. W. Kallenbacha.**

Nowiny

21. Lutego 1856. № 23. Rok trzeci.

Sierota wielkiego świata.

II.

(Ciąg dalszy).

W tymże samym czasie, gdy Gustaw miotany namiętnością pisał podanie o dymissję z służby, siedziały obie przyjaciółki w salonie pana Alfreda, i prowadziły rozmowę o wczorajszej perorze pana Złotoustego.

— Wierzaj mi Felciu, mówiła Jadwiga, jeźli to tak dłużej potrwa, to mi przyjdzie zwarjować. Nigdzie nie bywamy, nikt u nas nie bywa, siedzimy jak za klauzurą. Na wsi miałam przynajmniej kilka kotów, małpę, wiewiórkę i Amorka, a tutaj i tego nie ma! A ten Gustaw, to także jakiś sensat, niespodziewałam się tego po nim. Że go tatko niebardzo grzecznie przyjął, to już zerwać na zawsze, a nawet na ulicy się nie ukłonić! Przed kilkoma dniami, gdym powracała z mamą z kościoła, zeszliśmy się na jednej ścieżce, nawet czapki nie zdjął przed nami.

— Jak prędko zmieniasz twoje zdania, Jadwidziu! odpowiedziała Ofelia, na wsi mówiłaś, że go we Lwowie może i znać nie zechcesz, a dzisiaj gniewa cię, że on ciebie znać nie chce!

— Bo jużciż niespodziewałam się, że tak źle będzie z nami, że będziemy skazane, długie wieczory przepędzać z przyjacielem Złotoustym, a w takim razie, jakto mówią dobre coś niż nic.

— Nie znasz Gustawa Jadwidziu, jeźli tak o nim mówisz. Nie jest on sensatem, ani mu nie brak odwagi. Obawiałam się, że jej będzie miał za wiele, ale widzę, że postępuje sobie bardzo rozsądnie. Ma on wiele szlachetności w swojem sercu, ale jest tam także i wiele dumy. A powiedz mi Jadwidziu, cóż wart jest mężczyzna bez dumy, bez owej, że tak powiem, szlachetnej arystokracji, która pochodzi ze znajomości siebie samego, swoich wyższych przymiotów. Mężczyzna bez dumy, bez pewnej pretensji, nigdy daleko nie zajdzie, pozostanie tam, gdzie go rzucił przypadek lub urodzenie!

— I cóż ztąd wypływa?

— Ztąd wypływa, że Gustaw urażony postępowaniem twego tatka nic innego przedsięwziąć nie może, jak tylko spokojnie czekać chwili, która urażonej jego dumie zadość uczyni.

— Jakim sposobem to się stać może?

— Człowiek taki, jak jest Gustaw, wyrobi sobie w krótce stanowisko, które mu otworzy drzwi naszych salonów, a wtedy wejdzie tryumfatorem!

— Jak ty to pięknie wszystko widzisz Felciu! jabym inaczej o tem sądziła! Już więcej jak miesiąc jesteśmy w stolicy, on cię często na ulicy spotyka, czasem się ukłoni, a czasem nie, a ty tak piękne rzeczy o nim prawisz. Wczoraj widział cię w sklepie, najlepszą miał porę, aby ci coś powiedzieć, i cóż ci powiedział?... Oto mówił coś o karnawale, o tańcach i zabawach, a nie czekając wcale twojej odpowiedzi, skłonił się i odszedł. Idź, idź z taką miłością, jabym już dawno przestała o nim myśleć. Ot może się zajął jaką kawiarką a ty robisz z niego bohatera.

— To prawda, że postępowanie jego wiele dało mi do myślenia, ale tak przecież nie jest jak ty sądzisz. Że się do mnie nie zbliża, może mieć w tem powód dwojaki: Albo sądzi, że czas serca mego zmienić nie może, w czem mi tylko słuszność oddaje, albo sądzi, że w niegrzecznem obejściu się twego tatka i ja udział miałam, a wtedy już duma jego nie pozwala mu zbliżać się do mnie, co mnie nie mniej cieszy, bo nie lubi tych, co się czołgają.

— Hm, hm, hm, odpowiedziała Jadwiga, kręcąc główką, to zadaleka filozofia. Jabym tak nie ryzykowała. Nie chce mnie znać, nie kłania mi się, to kwita z nami!

— Za płytko bierzesz wszystko Jadwidziu!

— Może być że płytko, ale za to widzę to dobrze co biorę. Ty zaś sięgasz gdzieś aż za dno, i domacujesz się tylko. Pamiętaj, żebyś zamiast złotej rybki nie wyciągła głowacza!

Drzwi salonu otworzyły się nagle, wszedł Tryton.

— *Bon jour mesdames!* zawołał na progu, cóż się to znaczy? Chodzę po kredensie, szukam wszędzie, niema nikogo, coby mnie mógł zaanonsować! Więc przepraszam żem był tak śmiały!

— Dzięki pańskiej śmiałości, odpowiedziała Jadwiga, że pana widzieć możemy. Inaczej może byto nie nastąpiło. Mamcia poszła do kościoła i wzięła z sobą lokaja, a w takim razie zazwyczaj zamykają się drzwi od sieni. Żeś pan je znalazł otworzone, to się stało cudem, a my korzystając z tego cudu, usłyszymy coś od pana o wczorajszym balu.

— Ba, o wczorajszym balu, odpowiedział Tryton, a czemużto same panie nie były? kilka razy oglądnąłem wszystkie krzesła i kanapy, i smutno mi było że dwa najpiękniejsze kwiaty stolicy brakowały!

— Pan mówisz komplementa, a my chcemy coś o balu usłyszeć.

— A jaby pierwej rad wiedzieć, dla jakiej to przyczyny panie wczoraj na balu nie były? Wszystek wielki

świat naszej stolicy tam się zgromadził, co za kosztowne ubiory, co za precjoza!..

— My tego karnawału nigdzie nie bywamy, odpowiedziała Jadwiga, bo tatko dostał z Wołynia wiadomość, że nasza stryjeczna ciotka na katar mocno zasłabła. Z tej to przyczyny jest w naszym domu żałoba familijna.

— *A propos* kataru i żałoby przypominam sobie mego przyjaciela, porucznika inżynierji, który jest teraz na salonach w modzie.

— Jak się nazywa, zapytała Jadwiga.

— Gustaw...

— Znamy go dobrze, bawił u nas kilka tygodni.

— Tem lepiej, że o znajomym mówić będę. Otoż ten pan Gustaw miał prześliczną siwkę Melpomenę, i wczoraj z powodu kataru musiano jej w łeb strzelić. *Voilà!* z powodu kataru!

— Juściż pan naszej ciotce tego nie prorokujesz?

— Broń boże! nie mam powodu, nie jestem jej sukcesorem. Ale *à propos* żałoby, otóż nasz porucznik w tak grubej był żałobie po swojej Melpomenie, że wczoraj na balu widząc, był nie widzącym, a słysząc był nie słyszącym. Pani Aurora oświadczała mu się publicznie, a on to przyjmował tak naiwnie, jakby był młodzieniaszkiem o czternastu latach.

— Może tą naiwnością chciał pokryć odmowną odpowiedź, wtrąciła Ofelia.

— Gdzie tam pani! to gracz stary! On wie, że naiwność więcej w takim razie nęci, niżeli doświadczenia na obszerną skalę!

— Myśmy tego właśnie nie widziały, rzekła Jadwiga z ubocznem spojrzeniem na Ofelią, gdy był u nas na wsi.

— To się zczaił jak lis stary. Zaledwie wszedł na salony, tak umiał sobie wszystkich zjednać, że dzisiaj mężczyzni go lubią, a kobiety za nim szaleją! Tyle swobody jest w jego znalezieniu się, tyle dowcipu, humoru i zdrowego rozumu w jego mowie, że zgoła, gdzie przyjdzie, wszystkich opanuje! A jak gra, jak tańczy! jak przecudnie śpiewa! słowem mistrz we wszystkiem. Dodajmy do tego urodę niepospolitą, zgrabne maniery i jakieś tam... tam.. bajeczne sumy w procesie, to wcale nie możemy się dziwić, że ładne oczka za nim patrzą a mameczki coś sobie do uszu szepcą.

— Więc takie furore robi na salonach? zapytała się Jadwiga z rozjaśnionem okiem, to mi się bardzo podoba, myślałam że wyszedłszy z akademii będzie sensatem.

— Gdzie tam sensatem pani! Za kilka miesięcy, to będzie lwem naszej młodzieży. Tak ją opanował, że we wszystkiem na niego się oglądają. Wczoraj jechał na koniu ze zwieszoną głową, nuż wszyscy zwieszać głowy, bo to jest *à la mode.* W największym galopie rzucił żebrakowi cwancygiera do czapki, nuż wszyscy za nim rzucać po bruku cwancygiery, bo żaden z nich do czapki nie trafił.

— *C'est le brave des braves!* zawołała Jadwiga z entuzyazmem, lubię takich ludzi, a ich sukcesem cieszę się jak własnym.

— *Oui, c' est le plus brave,* odparł Tryton wstając z fotelu i poglądając na zegarek, a dowodem tego jest, że osobą swoją zapełnił cały czas mojej wizyty.

— Czy miałeś pan czas wymierzony dla nas? zapytała Jadwiga.

— O dwunastej muszę być u pani Aurory, bo o pół do pierwszej zazwyczaj wyjeżdża do sklepów. A muszę ją posekować trochę kamelją, co śród tańcu dała Gustawowi.

Zaledwie Tryton z salonu wyszedł, zadzwoniła Ofelia na służącą. Była ona dziwnie wzruszona, twarz jej zarumieniła się...

— Widzisz Felciu, rzekła Jadwiga, jaki rozumek ma ten twój porucznik. Zbiera laury, aby miał kiedyś do nas z czem wejść. Daję ci słowo, że jak tylko tatko obaczy, że go na salonach tak rozrywają, to go niezawodnie zaprosi. Jeśli go z początku nie bardzo grzecznie przyjął, to się zapewnie obawiał, czy to nie będzie *mal-convenance,* aby takiemu człowiekowi dać przystęp do salonu. Ale dobrą drogę obrał sobie Gustaw, bardzo go za to lubię!

— Nie Jadwisiu, odpowiedziała Ofelia, on jest na złej drodze. Prędko trzeba go ratować.

— Jakaś ty nudna! I któż go będzie ratował?..

— Brat jego, Adolf, odpowiedziała Ofelia, a może jeszcze jaki duch opiekuńczy!

— No, ducha opiekuńczego ma każdy, jak mówi przyjaciel złotousty, a może ten duch opiekuńczy dopomaga mu dzisiaj na salonach; co się tyczy brata jego, to w jego pomoc nie wiele wierzę, on mi coś więcej wygląda na pastora, albo na kwakra.

Ofelia na to nic nie odpowiedziała, tylko kazała służącej zawołać chłopca i kredensu, i posłała go do Adolfa z listem hrabiego, zapraszającym go do siebie.

Patrząc na to Jadwiga, uśmiechnęła się złośliwie i rzekła:

— Przecież już raz się ten romans platoniczny prozą rozpoczyna, bo przynajmniej będzie coś czarno na białem. Dotąd nie wiele w niego wierzyłam, lecz widzę, że teraz się coś na prawdę zabiera, mimo to wątpię mocno, aby ten duch opiekuńczy mógł Gustawa prędzej do nas zbliżyć, niżeli jego powodzenia na wielkim świecie.

I na to Ofelia nic nie odpowiedziała, bo opowiadanie Trytona obudziło w jej sercu jakieś złowrogie przeczucie. Tylko Jadwiga nie widziała w tem nic złego, a posądzając Ofelję o zazdrość, śmiała się z niej, że ją, wychowaną na wielkim świecie, coś podobnego irytować może. Wyznała jej przytem, jak nieznośną kreaturą byłby dla niej mąż zazdrośny, któryby każdy jej krok śledził i podejrzywał, jak często trafia się w życiu kobiety, że chce się niewinnie zabawić, dając otuchę jakiemu adonisowi i wodząc go przez długi czas po kolcach i cierniach róż miłośnych, póty, póki się ta zabawka nie sprzykrzy, a wtedy parsknąć mu w oczy ze śmiechu i krzyżyk dać na drogę. Dodała w końcu: Jak często trafia się, że kobieta w marjażu pożądanego szczęścia nie znajdzie, i jak nieznośnym jest wtedy mąż sentymentalny, co sentymenta swoje, jak sałatę pieprzem, zazdrością przyprawia, i w nieszczęśliwą żonę swoją

wlepia zazdrośne oczy, i wykręca się za nią jak pyzaty słonecznik za słońcem.

Ofelia słuchała niecierpliwie tego wszystkiego, co jej Jadwiga o stosunkach małżeńskich napletła, ale nic jej tym razem na to nie odpowiedziała, bo ją ważniejsze zajmywały myśli.

Zostawmy więc obie przyjaciółki, jedną rozmyślającą nad przyszłością małżeńską, a drugą walczącą z złowrogiem jakiemś przeczuciem, a przenieśmy się do pracowni malarza.

Dobry nasz znajomy jakoś się bardzo w tym czasie odmienił. Dawny Diogenes przemienił się w Epikura, i tak byśmy go też osądzić musieli, gdybyśmy nie byli przekonani, że cały ten komfort nie był dla jego osoby, ale dla tej, którą całą duszą ukochał, której resztki swoich snów i marzeń poświęcił, dla sztuki. Jakże jej nie miał ukochać, jeżli patrząc się na roztrwonione skarby żywota swego, widział tylko szych i blichtr, który zbladł i zczerniał, widział tylko szmaty i łachmany z owych fantastycznych kostiumów, w jakie odziewała go niegdyś młodzieńcza, ognista wyobraźnia, a między tym szychem i łachmanami wynalazł tylko jeden pozostały klejnot, ową wiecznie świecącą perlę, sztukę swoją. Chociaż w szale namiętności i ten klejnot wraz z szychem w błoto rzucił i go własną stopą podeptał, wracał on jednak w tem jaśniejszym blasku do niego, jak ów skarb greckiego mędrca, którego ani ziemia ani morze przyjąć nie chciały. Po każdej ziemskiej boleści wracała do niego owa eteryczna córa niebios, wracała cicho i nieśmiało jak wzgardzona kochanka ze łzą w oku, z bladem obliczem, a wiarołomny jej ulubieniec wylewał łzy skruchy i żalu, i z podwójnym zapałem rzucał się w jej boskie objęcia. Toż dzisiaj nie miałże jej kochać, nie miałże jej otoczyć tem wszystkiem, co nam najdroższego dano na ziemi?

Pracownia malarza wyglądała dzisiaj jako prawdziwa świątynia sztuki. Obrazy dawnych mistrzów wisiały w pysznych, złotych ramach, utwory własnego jego pendzla świeciły skromniejszą ozdobą. Po całym pokoju porozrzucane stały kolumny i statuy, jedne dla upiększenia, inne dla modelów. Niżej obrazów, na około ścian, stały biusty sławnych mężów, między któremi widać było czasem jakąś postać alegoryczną, przedstawiającą zawód sławy, jaką odznaczali się obok niej stojący mężowie. Środek ściany przedzielała czerwona, adamaszkowa zasłona, która służyła artyście za wyborne tło do modelu. Sam artysta jak widać, miał cześć dla tej świątyni, w której zamieszkało bóstwo jego, i okazywał to starannym swoim ubiorem.

Zastajemy go właśnie przy pracy. Jest on nadzwyczaj czysto a nawet wytwornie ubrany. Ani poznać na nim dawnego brudu, dawnego zaniedbania się. Przed nim na sztelaży stoi znany nam szkic chrztu Jagiełły. Zajęty jest właśnie wypracowaniem twarzy Jadwigi, której wizerunek wisi nad blejtramem. Zrazu wpatrywał się często nasz artysta w ten wizerunek, ale nagle roziskrzyło się jego oko, jego twarz zajaśniała natchnieniem. Już teraz nie odrywał oczu od obrazu, ale malował i malował przez kilka godzin, nie zmieniwszy ani na chwilę swojej postawy, jak fanatyk indyjski. Wreszcie odetchnął głęboko, sięgnął do oka niby po łzę i wstał z krzesła, aby na swoje prace z oddalenia się popatrzeć.

W tej chwili wszedł Adolf do pracowni. Ujrzawszy obraz, stanął jak wryty.

— Auguście, zawołał, to wykroczenie przeciw historji i pamiątkom narodowym... Ta twarz...

— Czy mnie zawsze podchodzisz w chwilach mojej słabości? odpowiedział malarz z wyrazem boleści na twarzy, albo jest-że już takie przeznaczenie, abyś ty był jedynym na świecie, przed którym żadnej nie mogę i niepowinienem mieć tajemnicy?

— Nie Auguście, nie pragnę tego, są tajemnice, które osiadają na dnie serca. Tam są one źródłem najdroższych marzeń naszych, a wydobyte na wierzch, stałyby się w oczach świata dowodem naszego egoizmu, a nawet dla nas straciłyby dawny swój urok!

— Moja tajemnica należy do owych grzechów, które już świat dawno osądził. Nie obawiam się rozczarowania, bo już mnie rozczarowano. Światem pogardziłem, ale wspomnienia moich chwil szczęśliwych wyniosłem czyste i świeże. A ta twarz, patrz, ta twarz przypomina mi chwile mojego szczęścia!...

— To Ofelia, zawołał Adolf mocno zdziwiony.

— Podobna do niej, to jej matka!...

— Jej matka? powtórzył Adolf, i chwycił ręką za czoło, jakby nią chciał powstrzymać jakąś myśl ulatującą.

— Teraz ci się wyjaśni, dla czego ta sierota tyle mnie zajmowała? Nie mówiłem ci tego dotąd, bo nie chciałem w tragedją mego życia wplatać epizodu miłośnego, jakie po dziś dzień tylko w komedjach przychodzą.

Adolf był dzisiaj w tak dziwacznem usposobieniu, tak poetycznym wzrokiem spoglądał na świat i ludzi, tak pragnął ujrzeć choć coś z owej poezji życia ludzkiego, o której tyle namarzył, tyle naśnił! Opowiadanie malarza miało zadość uczynić temu pragnieniu. Z wyrazem oczekiwania na twarzy usiadł w fotelu.

— Znany ci jest, mówił malarz, początek moich losów tragicznych. Zrodzony w dostatkach, a zrodzony sierotą, pokochałem sztukę już w najpierwszej mojej młodości. Ona zastąpiła mi matkę, którą Bóg odwołał, nim jeszcze jej imie wymówić mogłem, a w jej objęciach czerpałem natchnienie i siły do życia, rozgrzewałem serce sieroce. Młodzieńcem wyszedłem z rodzinnych stron w daleki świat, i szukałem jej świątyń po świecie, aby się do niej modlić, aby się stać kapłanem jej misterjów!... We Włoszech popadłem w więzienie. Po kilku latach otworzyły się przedemną drzwi wolności mojej, na to tylko, aby się dowiedzieć, że jestem wiecznym tułaczem... Przybyłem do Florencji i zastałem tam hrabiego X. Znane mu było moje nazwisko, przyjął mnie do siebie. Poznałem córkę jego, młodą wdowę z małem dziecięciem, a tem była Ofelia....

Malarz zakrył twarz ręką i milczał chwilę. Poczem rozpoczął znowu swoje opowiadanie. Nie będziemy go tu powtarzać, bo czytelnicy przypomną sobie opowiadanie

*

Przyręby, które mniej więcej zgadzało się z opowiadaniem malarza.

— I cóż pan myślisz. rzekł razu jednego hrabia do mnie, czy moja córka ma pójść za pana? Jakaż jest dzisiaj pańska pozycja w świecie?

— Poświęciłem się sztuce, rzekłem z zapałem, i zdawało mi się, że to mnie wyżej postawi niżeli wszystkie tytuły i skarby tego świata!

— Toby śliczna rzecz była, mówił hrabia z homerycznym śmiechem, żeby moja córka za malarza poszła.

Była to pierwsza cierń, która się wpiła w serce moje, wszystkie inne zarosły, ta pozostała dotąd.

Po kilku-godzinnej burzy domowej, która córkę jego rzuciła na łoże śmiertelne, zawołał mnie znowu hrabia do siebie. Był nadzwyczaj blady, usta miał sine.

— Jeźli już taka kara boża dóm mój ma trafić, to niechże trafi serce moje, ale niech świat nie ma zgorszenia. Jeżeli pan co z majątku swego uratować możesz, to staraj się nabyć jaką posiadłość, wtedy mogę się nakłonić do próśb waszych, ale za malarza nigdy córki mojej nie wydam...

O ludzie, pomyślałem sobie, cóż was zaślepia, że nie widzicie wdzięków owej boskiej dziewicy, co wstępuje do nas, aby nas uczyć tajemnicy bogów? która splata wieńce sławy narodowej, która w jego żywot sączy krople wiecznego bytu, którego nawet miecz zwycięzcy przeciąć nie potrafi?... O sztuko! jakże silny jest naród, co twój zakon wyznaje, ty w miękkiej Hellenów szacie z lutnią w dłoni zwyciężyłaś w zbroi zakutego Rzymianina... Jam się czuł wielkim i potężnym, wdziewając suknię twego zakonu, a mnie rozkazano wyrzec się ciebie i z dumnych moich pałaców, zstąpić w ciasne kółko ludzi codziennych, o których, nim pół wieku przeminie, nie będzie wiedzieć historja, czy kiedy żyli na ziemi...

Nie, rzekłem do siebie, złożę pierwej dowody mego kapłaństwa, a po tem sława za mną przemówi.... Pracowałem dnie i noce, tygodnie i miesiące.

Śród tego czasu, zgłosił się do mnie pewien bogaty Anglik, a zachwycony moją pracą, obiecał mój obraz najsłynniejszym stolicy artystom okazać i mnie z nimi zapoznać. Przyszedłem w dniu oznaczonym, a on wskazał mi z mego obrazu popioły!.... Niewiem, co się dalej ze mną działo, tylko to wiem, że długo chorowałem, a gdy do sił przyszedłem, odszukałem Anglika i zabiłem. Ona już nie żyła!...

Tutaj zamilkł znowu malarz, a milczał przez kilka minut. Adolf nie miał odwagi przerwać tego milczenia. Poczem zaczął znowu:

— Żyje jeszcze jeden świadek tej sceny.. Przyręba.

— Przyręba? zawołał Adolf.

— Był wtedy lokajem u niejakiego majora Łubińskiego, który w tym samym czasie we Florencji bawił. On to nie znając mnie, opowiadał mi jednego wieczora własną moją historją, a gdy po owym wieczorze z pałacu zniknąłem, wszyscy myśleli, żem kradł i rozbijał!... A ja błądziłem od wsi do wsi, od mogiły do mogiły, drogi przed sobą nie widziałem, ani wody, ani płotów... Rzuciłem się w błoto, aby rozbudzony w mam sercu ogień zagasić, a wieśniacy wzięli mnie za topielca i uciekano przedemną... póki litość nieba nie odebrała mi zmysłów!... W szale ducha mego zanurzyłem się nawet w błoto światowe, bo myślałem, że cierpienia szlachetniejsze po nad błotem się unoszą, ale nie uciekłem przed niemi, bom je miał w sobie, bom je miał w głębi mojej duszy!...

Malarz pochylił głowę, twarz jego pałała. Adolf wstał, a zbliżywszy się do obrazu, począł się w niego wpatrywać.

— Jest w tej twarzy coś, rzekł po chwili, co przyciąga, co zachwyca. Nie umiem ci zdefiniować wyższej kobiety, kiedy jest piękną, ładną lub zachwycającą; nie umiem opisać ani wynaleść pojedyńczych jej wdzięków, a jednak patrząc na nią zdaje nam się, że nas jakaś siła wyższa, tajemnicza owłada, że nas przykuwa do niej, jakby do odszukanej połowy istoty naszej!,.. Jest to zagadka rzucona na drogę żywota, a im dłużej nad nią myślemy, tem mniej ją pojmujemy, tem więcej nas przyciąga i czaruje. Kobieta wyższych przymiotów jednem wejrzeniem ogarnie całą naszą istotę, i zdaje nam się, śród tego uczucia, żeśmy nagle zmaleli i stali się małym, świecącym punktem, który na jej oku uwisnął!... Wierzaj mi Auguście, niegdyś myślałem, że jestem panem siebie samego, że życie ludzkie, jest książką, wedle woli autora podzieloną na kartki, rozdziały i tomy.. Dzisiaj wydaje mnie się, że mnie dano do rąk książkę gotową, w której już nic zapisać nie mogę, a to co w niej czytam, jest mi tak nowem i nieznanem, jakby ktoś obcy w tej książce pisał! A przecież ja sam pisałem tę książkę, bo ta książka to moje własne życie! Mówią, że poeci na starość nie poznawają swoich poezji, musiałem się mocno postarzeć, Auguście, dzisiaj siebie samego nie poznaję!...

Mówiąc to patrzał Adolf na obraz, i ani na chwilę oczu od niego nie oderwał. Teraz obrócił się nagle, a w jego oczach zabłysły dwie łzy.

— Adolfie ty kochasz, zawołał malarz, i wziął go za rękę.

— Blisko siebie stańmy Auguście, odpowiedział Adolf z bolesnym uśmiechem. Córka odziedziczyła rysy matki, oby z niemi nie wzięła nieszczęścia!

— Ofelia!

— Tobie pozostała sztuka, a mnie?... pozostanie ofiara!...

— Jakto?

— Ona kocha Gustawa!

— Coś o tem już się dowiedziałem, bo czuwam nad każdym krokiem Ofelii, ale...

— Nie, nie, ja nie pożądam co być nie może. Pozycja Gustawa zbliża go więcej do niej, ma inne wychowanie, może się podobać... a ja cieszyć się będę ofiarą mego serca i widokiem jej szczęścia.

W tej chwili dały się słyszeć stąpania po schodach.

— Zapomniałem ci powiedzieć, zawołał nagle Adolf, że Ofelia ma przyjść do ciebie z hrabiną, mówiła mi to. Hrabina ciebie nie pozna, bo zostawszy pénitentką nie patrzy na świat żyjący.

W tej chwili otworzyły się drwi. Malarz rzucił zasłonę na obraz. Weszły Hrabina, Ofelia i Jadwiga.

Hrabina lękała się oczu podnieść do góry. Rozmawiała z malarzem o kościelnym obrazie, potem zaprowadził ją Adolf przed pyszną kopją Rubensa. Jadwiga oglądała kolejno wszystkie obrazy i biusty. Ofelia została sama przy malarzu. Widząc obie towarzyszki zajęte, podała rękę malarzowi i rzekła z cicha:

— Nie podziękowałam jeszcze panu za portret mej matki. Od tej chwili zdaje mi się, żeś pan opiekunem moich losów!

— Jestem nim, i będę, odpowiedział malarz drżącym głosem, i zaraz składam tego dowód.

Ofelia spojrzała na niego.

— Gustaw, wymówił z cicha malarz i wpatrzył się w twarz Ofelii.

— Gustaw, powtórzyłą Ofelia rumieniąc się.

— Jest na złej drodze.

— Bądź mu duchem opiekuńczym, szepnęła Ofelia.

W tej chwili zwróciła się ku niej Jadwiga. Nagle pobladła i stanęła jakby wryta. Ofelia pospieszyła do niej.

— Felciu, ten malarz...

— Cyt, już wiem, nic nie mów więcej, zaklinam cię.

Jadwiga przyszła do siebie, mimo to nie mogła ukryć swego pomieszania. Szczęściem, że hrabina zajęta była rozmową z Adolfem. Po chwili opuściły pracownią malarza.

Gdy do salonu zdążyły, udały się obie przyjaciółki do osobnego pokoju, a Jadwiga poczęła:

— Felciu, ten malarz, ja go poznałam...

— Może się mylisz.

— Nie mylę się, bo mi utkwił w pamięci jego wzrok, od tej okropnej nocy...

— Jakiej nocy?

— Wyobraź sobie, tej samej nocy gdy znikł z pod straży, śniło mnie się, żem szła za mąż, że byłam w sukni ślubnej, białej, morowej, przystrojonej w atłasowe ubranie. Na głowie miałam biały, bruxelski welon, a przedemną leżały dwie obrączki. Czekałam na drużbów, wtem czuję, że mnie welon spada z głowy, coraz więcej, coraz więcej... oglądam się... aż tu widzę przeszywający wzrok tego brodatego malarza, który stał za mną i welon mi zdzierał... Obudziłam się z przestrachu... Rano już nie było malarza.

— Jesteś excentryczną, Jadwidziu, rzekła Ofelia, a przyjaciel Złotousty rozdrażnił ci główkę swemi perorami o cudownościach. Jedno ci się przyśniło, a drugie przywidziało.

Dobra Jadwiga uwierzyła w jedno i w drugie, a nim do salonu weszła, to o jednem i o drugiem zapomniała.

C. d. n.

Piosnka.

Hej! tam za górami,
Hej tam za lasami,
Na piasku białym;
Stoi biedna chata,
Kasinego brata
Z dachem zgorzałym.

Za karczmą, za płotem,
Strojna kwieciem złotem,
Rośnie dziewanna;
Przy karzmie z drugiemi
Płacze łzy krwawemi
Kasienka panna!

Żółtą chustkę z głowy,
Sznurek bursztynowy
Zrzuciła z szyje;
I twarz zapłakaną,
Srodze zatroskaną,
W białą dłoń kryje.

— „A czego płaczesz,
Czego żałujesz
Dziewucho biedna?
— „Boga-ć, nie mam czego,
Bez brata miłego
Na świecie-m jedna!

Ogień podłożyli,
Chałupę spalili,
Zabili brata;
Człek biedny nie może!
O mój święty Boże!
Zbierz mię ze świata.

— „Oj! nie płacz dzieweńko,
Jeno raniusieńko
Idź do kościoła;
Przed wielkiemi drzwiami,
Z jasnemi włosami
Ujrzysz anioła!

Módl-że się Marji,
To on ci łzy Jej
W niebo poniesie;
I będziesz szczęśliwa
Jak ptaszek co śpiewa
W zielonym lesie.«

Pobiegła zagonem
Z włosem rozpuszczonym,
Łzy jej twarz myją;
O! poszczęść na drodze
Sierocie niebodze,
Matko Marjo!

T. L...

Processowicze.

Szkic obyczajowy.

Ciąg dalszy.

Wróćmy teraz do sceny naszej.

— Nie rozumiem tego mój księże Józefie! mówiła

panna Eulalja z złośliwym przyciskiem. Nie takie to ja przebyłam już rzeczy. Znam ja wszystkie scieżki procesowe, dobrze przezemnie wydeptane. Wygram! wygram... wygrać muszę... Nieprawdaż panie Ignacy? nieprawdaż panie Pietrze?

— Niezawodnie pani dobrodziejko! odpowiedziały oba echa.

— I kabała to samo powiada?

— Powiada co do słowa droga imościuniu!

— Kabała, to próżny wymysł szatańskiego ducha i szatańskiej próżności! przemówił ksiądz Józef. Jedna tylko jest prawda, jak jeden Bóg i jedno sumienie...

— Stare, przesądne zdania! zachichotała panna Eulalja.

Obaj pretendenci zawtórowali głośnym śmiechem, spoglądając obleśnie na swoją Dulcineę.

Wtej chwili wbiegł do salki jakiś chłopak bosy i w obdartej guni.

— Kundziu! zawołała pani. A ty czego tak wpadasz jak warjat?

— Wójt przyniósł listy z poczty, odpowiedział chłopiec, i złożył na stole wielki pakiet opieczętowany.

— To od adwokata! zawołała panna Eulalja. Pewnie mój proces z panem Juljanem wygrany.

— Ach pani dobrodzijko! wyjęknął pan Ignacy. i litościwo-romantycznie komicznym spojrzał ku niej wzrokiem.

— Moja radość! szanowna pani! zawołał perkonosy mandatarjusz, i podskoczywszy nieco na krześle, rzucił ku starej pannie wejrzenie piorunne.

I obydwa przysunęli się ku niej, czyli raczej ku listowi, który tańcował w jej drzącej ręce. Posesor wpakował okulary na nos, a mandatarjusz przyłożył lornetkę do oka.

Stara panna spojrzała na nich tryumfalnie, obdzielając obydwóch spojrzeniem zarówno zalotnem, i rozdarła pieczątkę. Zanim do przeczytania listu się wzięła, przekładała z zamiłowaniem, malującem się na jej twarzy, prawne dokumenta w liście zawarte, pieszcząc się niemi ręką i wzrokiem.

— Wiedziałam że ja muszę wygrać. Znam ja się na procesach, i każdym procesem wiem jak kierować! Niema jak proces; co to za rozkosz wygrać i drwić sobie z przeciwników. Kto z panów czytać będzie list?

— Ja! ja! zawołali obaj współzawodnicy.

— Pan lepiej widzisz, bo pan masz okulary, a pan głośniej czytasz! mówiła dalej stara panna wyciągając rękę z listem, do którego obaj panowie uśmiechali się obliżując usta. Mandatarjusz żywszy od posesora porwał za list i zaczął czytać.

Lecz o smutna znikomości rzeczy ludzkich. Za każdem słowem długiego i nudnym a rozwlekłym stylem pisanego listu, przeciągały się twarze, upadały fantazje, spuszczały się głosy.

Proces był przegrany najokropniej. Nabywszy długów i pretensji, uzyskawszy prawny przeciw pannie Eulalji wyrok, wyrobili sobie sekwestr do wszystkich jej dochodów, którego jak adwokat ją w liście przestrzegał, może się co chwila spodziewać. Jej zaś własne pretensje odesłano do drogi prawa. Jednem słowem własnym uporem traciła cały majątek a z nim i całe utrzymanie na czas nieograniczony, biorąc w zamianę długoletni i wielce niepewny proces.

Po przeczytaniu tego listu nastało długie i ciężkie milczenie. Wszyscy stali nieruchomi, nieśmieli sobie nawet w oczy zajrzyć, bojąc się zapewne by myśli swych i zdań wyrazem oczów nie zdradzili. Xiądz Józef tylko powstał żywo, i zbliżył się do stołu, i wyrazem ewanielicznej litości chcąc zapewne do kielichu gorzkiego dorzucić kroplę pociechy.

— To łotr z tego adwokata! to głupiec! zawołała wreszcie panna Eulalja, a oczy jej zaiskrzyły się zjadliwą złością. Dobrze mi tak, zachciało mi się w domu siedzieć, i słuchać głupiej gadaniny tych... Ale teraz inaczej pójdzie!.,. ja sama prowadzić będę proces. Ja ich nauczę, i tego adwokata, i tego pana Juljana, i tych panów sędziów, i całemu światu pokażę, co to znaczy kobieta tak doświadczona jak ja!... Cożeście tak nosy pospuszczali moi panowie? dodała zwrócona ku adoratorom swoim.

— Ot tak! jęczał posesor, skrobiąc się w nos.

— Nic to, nic! uśmiechnął się gorzko-kwaśno pan mandatarjusz, poprawiając kołnierzyki.

— Pójdę wszędzie, sama będę pisać, gadać, krzyczeć! do kryminału podam, wsadzę adwokata i tych podstawionych wierzycieli do kozy. A żebym miała o żebranym chodzić chlebie od drzwi do drzwi, postawię na swojem! Nie bójcie się! A gdzie to panowie idziecie? dodała patrząc jak obaj konkurenty posuwali się milczkiem i na palcach ku drzwiom wchodowym.

— Pani dobrodziejka daruje, ale przypomniałem sobie że mam niektóre w domu dyspozycje odrzekł pan Ignacy.

— Bardzo mi przykro, odpowiedział mandatarjusz, ale ja mam coś do cyrkułu odpisać.

I co prędzej wybiegli obydwa. A tak im było spieszno, że nawet niepostrzegli mnie, przebiegając tuż koło mnie. Widziałem tylko, że podali sobie ręce, a mandatarjusz szepnął mimochodem do posesora:

— Trzeba nam spieszyć, i wynieść co można, bo z tą głupią babą już przyszło na pohybel.

— A darmoidy! lizusy! krzyczała za niemi panna Eulalja. Uciekacie teraz, bo wam się zdaje że ja już zgubiona. A głupcy! oni się przestraszyli procesu. Ale ja się dobrze znam z procesem, niech sobie sekwestrują! Ja się dziś jeszcze zbiórę i pojadę do Lwowa.

Gdy te słowa wymawiała, wyraz jej twarzy był prawie wesoły. Starej procesowiczowej serce zadrzało ku ulubionej wędrowce po aktach, fascykułach, adwokatach i wszystkich kancelarjach.

(C. d. n.)

Rozmaitość.

* **Alexander Dumas ojciec i syn.** Dumas syn ma być o tyle porządny i oszczędny, o ile stary Dumas jest nieporządny i rozrzutny. *Mirécourt* w dziele swojem: *Les Contemporaines* opowiada następujące o nich anegdoty. Dumas stary zbudzony raz bardzo rano, przez swoich współpracowników, zrywa się z łóżka, i chce buty wciągnąć. Daremne chęci, butów nigdzie znaleśc nie może.

— Wyobraźcie sobie, ozwał się do czekających, mój syn ma dwanaście par butów, które czekaja na półce złożone, na jego rozkazy. Nie będzie nigdy nic z niego!...

Albo znowu innym razem szedł młody Dumas z przyjacielem swoim. Przechodząc koło pomieszkania ojcowskiego:

— Może byśmy co zjedli? ozwał się do przyjaciela, ale ponieważ niemam tylko dziesięć franków, wstąpię do ojca, by mi dał trochę pieniędzy. Poczekaj na mnie.

Nieminęło pięciu minut wychodzi z domu młody Dumas, ale z miną kwaśną i zmieszaną.

— Co tobie takiego? zapytał przyjaciel.

— Nic tak dalece?... odrzekł zapytany. Nic nie będzie z naszego projektu. Papa nie był przy pieniędzach i... pożyczył u mnie te dziesięć franków jakie miałem.

* **Awantura teatralna.** Z Medjolanu piszą o skandalicznej awanturze, zdarzonej w teatrze Carcano, jakiej niepamiętają najstarsi ludzie. Przedsiębiorcy muzykalni Simoni i Casati ogłosili S t a b a t M a t e r Rossyniego. O godzinie 8mej sala była już przepełniona. Mimo nadzwyczaj słabego wykonania, publiczność słuchała cierpliwie pierwszej części Oratorium; ale gdy coraz fałszywsze odzywały się tony, i nie było już wątpliwości, że dla brudnej spekulacji tylko przekrzywiono dzieło takiego mistrza, rozpoczęła się burza. Przerwano naprzód i zakończono przedstawienie, wyganiając spiewaków świstaniem najokropniejszem. Ale nie dosyć na tem; ci co dali pieniądze, chcieli coś mieć za nie, a że oczywiście żądaniom ich nie czyniono zadość, rozpoczęła się dopiero skandaliczna scena. Połamano ławki na parterze, i rzucano je ku lampom, do lóż przymocowanych. Na to znowu siedzący w górnych szeregach, rzucali na dół świecami i lichtarzami. Kobiety znowu które na prędce uciec nie mogły w płacz i mdłości. Burza tymczasem wzmagała się coraz więcej; pozdzierano zasłony i inne draperje, a w końcu wzburzeni widzowie wzięli się do innych sprzętów lożowych. Po półgodzinnem pustoszeniu, mimo wdania się przyjaźnego władzy, chcącej uniknąć większych nadużyć, chcieli uderzyć na bióro przedsiębiorców, lecz szczęściem ci nie dotrzymali placu, i zabrawszy kassę zemknęli. Nareszcie ostudził się zapał, i pomału zaczęli się rozchodzić; po pół nocy było już zupełnie spokojnie w całej tej miasta części.

* **Patka i Adrjana Filipa** fabryka zegarków uzyskała na wystawie w Paryżu powszechne uznanie. Już od dawnych czasów słynie Genewa jako ojczyzna zegarków, Patek, polak emigrant, i Filip wznieśli jej sławę w tym względzie jeszcze wyżej. Nad brzegiem jeziora założyli ogromną fabrykę, w której z zastosowaniem wszelkich najnowszych sił i wynalazków, pod dozorem najbieglejszych szwajcarskich mistrzów, wyrabiają się najpiękniejsze i najtrwalsze zegarki. Robota jest tak podzielona, że każdy robotnik wyrabia tylko jedno przydzielone mu kółeczko lub inną jaką cząstkę zegarka. Tym sposobem nabywa wprawy i zręczności, i w krótkim czasie może daleko więcej zrobić, niżeli ten, co sam wszystko robić musi. Ztad dostarcza ta fabryka i najtańszych i najlepszych zegarków.

* **Król Dawid konzulem.** Na kilka dni przed lutową rewolucją Lamartine, oddając się ulubionym swoim medytacjom, przebiegał właśnie psalmy Dawida. Uderzyła go w nich jedna myśl, z której chcąc zapewne korzystać, zapisał dla pamięci w pularesie swoim: D a w i d. Zdarzenia polityczne tymczasem postawiły poetę na publicznem stanowisku. Gdy przyszedł do władzy, obsypano go prośbami o posady rozmaite. Nie mogąc wszystkich spamiętać nazwisk, zapisywał do pugilaresu wszystkich dyplomatycznych konkurentów, których za godniejszych uważał. Gdy przyszedł czas mianowań, każde z tych nazwisk zapisanych figurowało w dekrecie rządu prowizorycznego, mianującym rozmaitych ajentów dyplomatycznych, na których jak wiadomo nie brakowało w ówczas Francji. Wszystkie dekreta podbierano; jeden tylko pozostał w biórze ministra-poety, była to nominacja dla obywatela Dawida na konzula do Bremen. Sekretarz ministra przeczekawszy dni 14cie, udał się do samego Lamartina, pytając co ma z tym zrobić?. Lamartine także nie pamiętał, lecz ledwie zajrzał do pularesu, przypomniał sobie spokojne chwile przedrewolucyjnych medytacji.

— Cóżeście zrobili? zawołał minister. Wielkiego króla Dawida mianomaliście konzulem w Bremen.

— Jakiego króla? zapytał sekretarz zdziwiony.

— Ależ psalmistę, który tańczył przed arką przymierza.

Nazajutrz stało w Monitorze: „Pan X. został mianowany konzulem w Bremen, na miejsce obywatela Dawida, powołanego na inne stanowisko."

* **Przemysłowcy londyńscy.** Na trotoarach londyńskich zdybuje się często mężczyznę, wytwornie ubranego, w najmodniejszym surducie, ze złotą lornetką w oku. W ręku trzyma elegancką laskę, ozdobioną złotą gałką. Chodzi od jednej wystawy do drugiej, zagląda przez lornetkę, pochwali ten lub ów artykuł, czyni sąsiada uważnym na misterność roboty i na taniość godną podziwienia. Gdy się liczniejsze wkoło niego grono zbierze, wymyka się nagle z pośród widzów i wpada do sklepu. Z miną wielkoświatowca rozkazuje, aby mu wystawione towary pozdejmowano i wieczorem do domu zaniesiono. Nie zapomni zostawić w sklepie biletu z nazwiskiem hotelu w którym mieszka. Z fantazją, odprowadzany przez grzecznego kupca aż na ulicę, wychodzi i opowiada patrzącym na wystawę o kupnie tych lub owych artykułów. Ztąd idzie dalej, i staje przed wystawą jubilera. Jest wybornym znawcą wszystkich metali i kamieni i niby od niechcenia jakieś słówko do stojących powie. Widzowie kupią się koło znawcy i słuchają jego wykładów bezpłatnych. Uniesiony blaskiem brylantu najczystszej wody, wpada do sklepu i każe go sobie do hotelu zanieść. Jubiler kłania mu się nisko, i grzecznie na ulicę go odprowadza. Od jubilera idzie przed sklep rękawicznika i znowu chwali, znowu zakupuje. Wie on godziny, w których zazwyczaj napełnione są pracownie krawców. Wszedłszy tam, rozprawia wiele o najnowszych modach i chwali krawca jako najzdatniejszego mistrza. Opowiada o sukcesie nowego fraka z jego pracowni, i zamawia sobie nowy jaki garnitur. Z pracowni krawca idzie do sklepu szewca i wybiera najzgrabniejsze butynki.

Ktoż to jest ten młody człowiek? Lord czy marnotrawny syn bankiera? — Gdzie tam! to jest chudeusz, utrzymuje go towarzystwo rzemieślników i kupców, których interesa nie krzyżują się wzajem, a jego obowiązkiem jest łazić od jednego sklepu do drugiego, zwracać na nie uwagę przechodzących, i udawać kupującego lorda. Pobiera od nich płacę, stosowną do swoich manier, i do zewnętrznej prezentacji. Krawiec daje mu frak, szewc buty, jubiler dekoruje go złotym łańcuszkiem z pękiem bryloków, a zegarmistrz wyposaża go małym, złotym zegarkiem. Każda część ubioru pochodzi ze sklepu jednego z jego chlebodawcy, a razem zebarane tworzą człowieka, o którego wysokiem stanowisku i niepospolitym rozumie nikt z uliczników powątpiewać się nie poważy.



Nowiny lwowskie

* Drugi konceet p. Łapczyńskiego d. 18. b. m. odbyty, podniósł jeszcze więcej w powszechnem zdaniu, znakomity prawdziwie talent młodego ziomka naszego, który im go się więcej słyszy, tem więcej uzyskać musi uznania swoją grą, pełną siły, techniki i uczucia. Szerszy rozbiór gry jego damy w późniejszych numerach naszych, tu tylko mówimy o ogolnem wrażeniu, jakie sprawił ostatni koncert jego.

Nadewszystko podobały się K o ń c e r t i N o c t u r n a C h o p i n a, których odegranie tem było doskonalsze, że koncercista umiał uwydatnić wszystkie piękności tego wielkiego mistrza utworów. Z niemniejszą biegłością i wdziękiem odegrał dwie k o m p o z y c j e D r e i s c h o k a, z których mianowicie

Invitation a la Polka bardzo się podobała. Oklaski były szczere i rzęsiste, młody artysta kilkakroć wywołany, odwdzięczył się odegraniem niezapowiedzianiego ślicznego mazurka Chopina. Teatr był pełny dosyć, ale przyznać trzeba, że przyjemności całego wieczoru zawadzało nie pomału mocne zimno, dokuczliwe w nieopalonej sali teatralnej. Podwójnie się też cieszymy, że jeszcze jeden ma odegrać koncert, i to w sali redutowej. Koncert ten odbędzie się w Niedzielę o godzinie piątej.

* **Konkursa.** Posada Schychtmajstra przy dyrekcji salin w Wieliczce z pensją 700 złr. termin podania do 20 Marca. Posada expedytora przy urzędzie pocztowym w Mielcu z pensją 30 złr. i z warunkiem złożenia kaucji w ilości 200 złr.; termin podania do 10 Marca.

Przyjechali od dnia 18. do 20. Lutego do Lwowa.

PP. Jaworski Jan ze Sokala. Pohorecki Kaj z Horpina. Raczyński Jan z Pawłowa. Przyłuski Wikt. z Sokołówki. Terlecki Korn. z Korczyna. Studzieniecki Fel. z Krakowa. Mazurkiewicz Ludwik z Reterowic. Lewicki Baz. ze Sącza. Wiśniewski Tad. z Kokutkowic. Rudnicki Leon z Biały. Hr. Dzieduszycki Alex. z Lachowic. Wilczyński Ludw. z Lubaczowa. Białkowski Mich. z Kociubińczyk. Pietrzycki Fel. ze Złoczowa. Czerwiński Stan. z Mieczyszczowa. Guszkowski Marc. z Brzeżan. Orzelski Marc. z Podhorzec. Czajkowscy Jan z Bóbrki, Hip. z Sarnek. Prawecki Eust. z Przemyśla. Kriegshaber Henr. z Krakowa.

PP. Bogdanowicz Józef z Krakowa. Link Fr. z Komarna. Żurawski Jan z Łopatyna. Dobiecki Tom. z Tłumacza. Wszelaczyński Leon z Brodów. Głowacki Fel. z Husiatyna. Rudnicki Stan. z Toporowa. Zaharjasiewicz Mik. z Lipowic. Hr. Drohojewski Kaźm. z Tomanowiec. Hr. Drohojewski Józ. z Balic. Sozański Ant. z Torchanowic. Majewski Józ. z Maxymowic. Kędzierski Jul. i Szymanowski Józ. z Meryszczowa. Jaroszyński Ner. z Małowód.

Wyjechali od dnia 18. do 20. Stycznia ze Lwowa.

PP. Zagórski Józ. i Tebiński Ant. do Przemyśl. Gorecki Lud. do Rawy. Bogdański Henr. do Jaworowa. Garbiński Mich. do Sanoka. Czajkowski Hip. do Przemyśla. Chwalibóg Jan do Lipowic. Skowaczewski Stan. i Dekert Wic. do Brodów.

Hr. Siemiński Wilh. do Jarosławia. Kruszyński Józ. do Dobrosina. Pohorecki Kaj do Horpina. Strzelecki do Krakowa. Udrycki do Czerniowic. Frankowski Karol do Perepelnik. Orłowski Hip. do Olechowic. Hubicki Karol do Ożydowa. Lanc Paweł do Wierzblan. JP. Josika do Gaj.

Kurs telegrafowany z Wiednia 20. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 105 złr. .	$104\frac{1}{4}$	Pożyczka 5%	$83\frac{3}{8}$
Hamburg za 100 tal. banco	$76\frac{1}{4}$	Akcye banku	1030
Londyn za 1 funt szterl.,	10.13	Kolej północna	2680
Medyolan za 300 lirów	$104\frac{3}{8}$	Obl. ind.	$76\frac{3}{8}$
Paryż za 300 franków .	$121\frac{1}{8}$	Nowa pożyczka z loterya	$105\frac{1}{2}$
Agio duk. ces.	—	Pozyczka narodowa . .	$85\frac{5}{16}$

Dzisiejszy Kurs Lwowski

	Gotówka				towarem			
Dukat holenderski	złr.	4	kr.	53	złr.	4	kr	57
Dukat cesarski	«	4	»	54	»	4	«	57
Półimperyał zł. rosyjski	«	8	»	22	»	8	»	30
Rubel papierowy	»	1	«	34	»	1	»	35
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	37	«	1	»	38
Talar pruski	»	1	«	31	»	1	«	34
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	11	»	1	»	12
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	88	«	—	»	88	»	30
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		75	»	30	»	76	«	15
5 proc. pożyczka narodowa		83	»	15	»	84	»	15
Śrebro		—	«	—	»	—	»	—

Lwów, 20. b. m. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 22 złr. — kr. do 30 złr. — kr. — Żyta po 17 złr. 30 kr. do 18 złr. — kr. Jeczmienia po 14 złr. — kr. do 15 złr. — kr. Owsa po 9 złr. — kr. do 10 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do 17 złr. 30 kr. Hreczki po 16 złr. — kr. do 16 złr. 35 kr. — Ziemniaków po — złr. — kr. do — złr. — kr. Sąg drzewa bukowego 37 złr. 30 kr. — do 40 złr — kr. Sosnowego po — złr. — kr. do — złr. — kr. Cetnar siana 2 złr. — kr. do 2 złr. 30 kr. — Centnar słomy 1 złr. 45 kr. do 2 złr. 5 kr. w. w. — Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty — Złr. — kr. do — złr. — kr. w. w.

☞ Do dzisiejszego Numeru dołączony jest **Dodatek**.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**